

Adam Grobler

Profesor Augustynek od strony znanej, lecz rzadziej publicznie omawianej

Niewiele brakowało, abym Profesora Augustynka poznał jeszcze będąc studentem IV roku matematyki. On to bowiem prowadził na Wydziale Matematyki, Fizyki i Chemii UJ, gdzie studiowałem, wykłady z filozofii marksistowskiej, która była wówczas (1970/71) przedmiotem obowiązkowym na wszystkich kierunkach studiów. Przeszkodą do zawarcia wtedy tej znajomości był mój nałóg gry w brydża, któremu oddawałem się m.in. w czasie wykładów, zwłaszcza należących do tzw. „bloku ideologicznego”. Nie było mi dane poznać Profesora nawet na egzaminie, bo akurat rozchorował się i zastąpił go ktoś inny.

Do zawarcia znajomości doszło inaczej. Ćwiczenia, na których obecność była obowiązkowa, prowadził Mirosław Dzielski, działacz opozycyjny, późniejszy redaktor podziemnego (w czasie stanu wojennego) czasopisma liberałów „13-tka”. Zajęcia z marksizmu zaczęliśmy od lektury Abelarda. Co było dalej, słabo pamiętam. Na pewno Kant, Sartre, także i Marks, w dawce profilaktycznej. W każdym razie spodobało mi się. Toteż kiedy dowiedziałem się, że jest możliwość podjęcia równoległych studiów filozofii, postanowiłem z niej skorzystać, aby się nieco dohumanizować. Żywy przykład Dzielskiego świadczył o tym, że ten wybór nie zmusza do zaangażowania na „froncie ideologicznym”, od którego, studiując matematykę, byłem najdalej, jak się dało.

Profesora Augustynka poznałem dopiero będąc na I roku filozofii, na którym wykładał ontologię. Zgodnie z oczekiwaniami rozbudzonymi przez Dzielskiego, treść tych wykładów, podobnie jak innych, nijak nie pasowała do wizerunku „wysłanników reżymu”, za których wykładowcy filozofii na innych kierunkach powszechnie uchodzili. Złudzenia wolności od ideologicznego ucisku nie rozwiązał nawet pewien incydent, który wówczas mnie po prostu rozśmieszył. Jeden z moich kolegów odezwał się na

wykładzie takimi słowy: „Panie profesorze. Mówi Pan nam o takiej filozofii i o siakiej filozofii, ale niech nam Pan Profesor powie, która filozofia jest najlepsza”. Profesor Augustynek zbladł, zaczął się trząść, i wreszcie wyjąkał: „Nnno... marksistowska”. Dopiero później uświadomiłem sobie, że w takiej grupie studenckiej musiał być jakiś OZI lub TW, i że ze strony Profesora Augustynka prowadzenie uczciwych intelektualnie wykładów było świadectwem nie byle jakiej odwagi. Tym bardziej, że jako szef Zakładu Filozofii Nauk Przyrodniczych na pewno niejedną raz musiał opierać się skierowanym przeciw Dzielskiemu naciskom ze strony władzy ludowej.

Na III roku trzeba było wybrać dwa seminaRIA. Przy niedoborze tematyki epistemologiczno-metodologicznej, która zawsze mnie interesowała, wpadłem na pomysł, żeby poprosić Profesora Augustynka o zezwolenie na uczestnictwo w posiedzeniach naukowych zakładu i ubieganie się na tej podstawie o zaliczenie seminarium. Na matematyce łączenie seminarium zakładowych ze studenckimi było normalną praktyką. Na filozofii nie było takiego zwyczaju, ale przy charakterze Profesora nie stanowiło to żadnej przeszkody.

SeminaRIA te były wielce pouczające, a czasami zabawne. Tematem jednego z posiedzeń było pojęcie istnienia. Jako pierwszy głos zabrał Wacław Mejbaum. Powiedział, że w logice i matematyce „istnieje” to jest kwantyfikator, a poza logiką i matematyką, co to jest istnienie, każdy wie. Koniec. Szef (jak powszechnie nazywano Profesora) na to: „Ależ Wacku, czyż to nie jest pasjonujące pytanie, co to znaczy, że coś istnieje?” „Na trzeźwo nie” — odpowiedział Wacek z miną sfinksa.

Następnego roku ogłoszono konkurs na stanowisko asystenta w zakładzie. Zgłosił się jeden kandydat, dość przeciętny magister fizyki, który z filozofią nie miał nic wspólnego. Temu pewnie zawdzięczam propozycję Szefa, abym przystąpił do konkursu. Pewną przeszkodą po temu było to, że w trzy lata po zaliczeniu V roku matematyki nie miałem jeszcze tytułu magistra, a do ukończenia studiów filozoficznych został mi cały rok. Na szczęście pracę magisterską z matematyki miałem wtedy gotową (do czego zmobilizował mnie zamiar poślubienia Joanny, mojej przyszłej żony) i Szef jakoś załatwił sprawę tak, że etat czekał na mnie miesiąc potrzebny do złożenia egzaminu magisterskiego.

Pasjonowałem się pisarstwem Stanisława Lema (nie ja jeden zresztą). Zapytałem Szefa, czy filozofia Lema jest dobrym tematem na pracę magisterską. Odpowiedział: „Na magisterską, doktorską, habilitacyjną”. W ten sposób został moim promotorem. Do mojej pracy wtrącał się tylko tyle, że mnie delikatnie popędział, jako że nałóg gry w brydża jeszcze mnie wtedy nie opuszczał. Gotowe dzieło przywitał z entuzjazmem.

Niedługo potem Szef otrzymał propozycję przeniesienia się na Uniwersytet Warszawski. Na pożegnanie usprawiedliwiał się przed nami mówiąc, że mężczyzna po czterdziestce musi coś w życiu zmienić: żonę albo pracę. Chyba wziąłem sobie tę wypowiedź do serca, bo sam dwadzieścia lat później przeniósłem się z UJ na WSP w Zielonej Górze.

Po odejściu Szefa na UW do pracy nad doktoratem nie miał mnie kto popędząć, przynajmniej dopóki, po jakim takim podchowaniu Gosi, naszego pierwszego dziecka, nie wzięła się do tego moja żona. Ze względu na odległość do Warszawy, wówczas

o ponad dwie godziny jazdy dłuższą niż teraz, Szefowi przypadła rola nie promotora, lecz recenzenta.

Grzecznościowo wysłałem mu rozprawę jeszcze w brudnopisie, przed przepisaniem jej przez zawodową maszynistkę¹. Niespodziewanie Szef przysłał recenzję nie czekając na oficjalny egzemplarz, co wywołało drobną konsternację w sferach urzędowych.

W tejże recenzji Szef dał upust swojemu temperamentowi, używając fragmentów mojej rozprawy na poparcie zjadliwej krytyki ówczesnych poglądów Wacława Mejbauma, który akurat był drugim recenzentem. Czułem się trochę nieswojo, gdy w trakcie egzaminu doktorskiego członkowie komisji pokazywali tę recenzję jeden drugiemu, wymieniając porozumiewawcze kuksańce. Na szczęście Mejbaum też się dobrze bawił.

Z licznych wybryków Szefa pamiętam niewiele więcej, niż tu napisałem. Te kilka wspomnień składam jako hołd jego rogatej duszy, w której istnienie skądinąd nie wierzył.

¹ Przypis dla młodzieży. Komputerów osobistych, ani nawet maszyn elektrycznych z pamięcią, wtedy jeszcze nie było. Pisało się na mechanicznej maszynie do pisania, ogromnie hałaśliwej. Jeśli zrobiło się literówkę, trzeba było przepisywać całą stronę od nowa. Toteż wymarły dziś zawód maszynistki był wtedy w cenie.